

Inwazja z przeszłości

■ Alek Rachwald ■

Za nami Monachium. Dla nieorientowanych: Monachium to święto nas – audiofilów, podobne do corocznego święta listopadowego w Warszawie, tylko znacznie dalej. Wielki jubel na sto fajerek. Warszawskie Audio Show wprowadzie Bawarczyków goni, ale jeszcze musimy trochę popracować nad rozmiarami imprezy.

Za każdym razem, kiedy mam przyjemność obserwować urządzenia wystawiane na naszym ulubionym targowisku (czy to w relacjach w prasie, czy też osobiście), odnoszę wrażenie mocnej pozycji zajmowanej przez sprzęt tradycyjny. Właściwie ta oferta nawet rośnie, a wysokiej klasy systemy, oparte na najnowocześniejszych rozwiązaniach czy gadżetach, pozostają w defensywie. Zgoda, Monachium to hi-end. To, co najlepsze i najdroższe. Ale ta świadomość tym bardziej powoduje zdziwienie, bo jednak przyzwyczajeni jesteśmy do sytuacji, w której im coś jest nowsze, tym jest lepsze i droższe. Tymczasem wystawa pełna jest ekskluzywnych, bardzo drogich wzmacniaczy, opartych na technologii lampowej albo tranzystorowych, ale bez żadnych aluzji do cyfry. Nawet niektóre najdroższe źródła cyfrowe budowane są w oparciu o chipy dawno wycofane z produkcji, które kiedyś wyrzucano szuflami, żeby zrobić miejsce dla nowoczesnych przetworników.

O gramofonach nawet nie warto mówić, bo jest ich coraz więcej, jakby wbrew leninowskim zasadom historii. Przecież wydawałoby się, że powinny wyginać jak burżuazja.

Widzę splot kilku przyczyn tego stanu rzeczy.

Po pierwsze, obecnie nowoczesny nie znaczy: najlepszy i najdroższy. Tzn. najdroższy może być, czemu nie, ale wówczas już bez pokrycia w kosztach wytwarzania i w jakości. Po prostu, czasy się zmieniły i nowe technologie

w większości służą sprawie obniżki kosztów wytwarzania i eksploatacji. A to nie jest idea hi-endu, który w założeniu dotyczy najwyższej jakości pod każdym względem. Wprowadzenie jakiegoś układu tylko dlatego, że da się go pocienić, co pozwoli oszczędzić cztery centy, to nie w tej branży. Tak przynajmniej powinno być; tego się oczekuje. Stąd częściowe rozejście się nowoczesności z hi-endem. Kilka technologii zostało zaadaptowanych do tej umownej klasy sprzętu. Są wzmacniacze cyfrowe i zasilacze impulsowe. Są oczywiście cyfrowe źródła wszelkiej maści, jednak wielu producentów opiera się tylko na rozwiązaniach sprzed 50 lub nawet więcej lat i świetnie wychodzą na swoje. Wyobraźmy sobie dużą metalową skrzynię, w której dość rzadko (ze względu na temperaturę) rozmieszczone są lampy elektronowe i wielkie kondensatory foliowe, plus transformator rdzeniowy. Tak wygląda typowy hi-endowy przedwzmacniacz gramofonowy. Niektóre wzmacniacze mocy i preampy liniowe również wiele nie odbiegają od tego schematu. Wszystko to mogłoby zostać wytworzone w latach, powiedzmy, 50. ubiegłego wieku, a mimo to produkowane jest teraz, kosztuje bardzo dużo i zwykle dobrze się sprzedaje. Po co więc takiemu producentowi technologia cyfrowa?

Ostatnio miałem styczność z nowym wzmacniaczem zintegrowanym firmy Yamaha. Jest to duża maszyna, prawie 30 kilo, nowy flagowy model w katalogu tego popularnego producenta, znane-

go z niedrogich i technicznie dopracowanych produktów domowego hi-fi. Dlaczego o tym piszę? Bo ten japoński wzmacniacz, zarówno z zewnątrz, jak i w budowie wewnętrznej, do złudzenia przypomina wysokie modele tej firmy z przełomu lat 70. i 80. Proszę Państwa, to było ponad 30 lat temu! Mam przypadkiem w domu bardzo dobry tuner Yamahy, model z 1978 roku, ostatnie wysokiej klasy analogowe radio tego producenta. Otóż po zestawieniu go z nowym wzmacniaczem uzyskuje się idealnie spasowaną „dużą wieżę”. Urządzenia wyglądają, jakby zaprojektowała je ta sama osoba. Można uznać, że to przykład pielęgnowania tradycji. Ale przecież Yamaha to przedsiębiorstwo komercyjne. Tam nie robią sprzętu do muzeum techniki, tylko na sprzedaż. A wspomniany wzmacniacz jest w dodatku drogi – kosztuje kilka razy więcej od oczko niższego. Czy zatem Yamaha zwariowała?

Nie. Ten wzmacniacz, absolutnie klasyczna integra na MOSFET-ach, bez grama technologii cyfrowej, wykonana z zegarmistrzowską precyzją i wyglądająca jak produkt znanej audiofilskiej manufaktury, jest dowodem, że nie tylko zdegenerowani audiofile uważają, że nawet najlepszy sprzęt można współcześnie budować na bazie pomysłów z ubiegłego wieku. Yamaha pokazała, że hi-end to coś ponadczasowego i że poważny producent nie musi gonić za modą. Słuchałem – to jest naprawdę coś. Ciekaw jestem, czy na wystawie w Monachium za rok będzie więcej podobnych produktów? Bo że małe zegarmistrzowskie manufaktury hi-endu wyznają zasadę, że „mniej znaczy więcej” i że stare jest piękne, to wszyscy z grubsza wiedzą od lat. Niekiedy twierdzi się, że mówią tak z musu, bo niby nie stać ich na nic lepszego (jakby dziś technologia naprawdę kosztowała krocie i była trudna do zdobycia, ha!). Ale jeśli coś takiego mówi wielki koncern... To dzieje się coś naprawdę ciekawego.